

Rozdział X

Charles czuł w sobie uwolnioną siłę rozpędu, która przeniesie go gładko poprzez wszystkie przykre i trudne okoliczności, związane z tak zasadniczą zmianą. Wiedział, że go ten rozpęd chroni nie tylko od wahania i połowiczności, lecz i od bólu. Dlatego też poszedł od stołu wprost do pokoju dzieci. Lu, która dawno zapomniała o uprzedzeniu matki, powitała go z entuzjazmem szczerym. Doznał co najwyżej lekkiego ukłucia. Natomiast Dicco był przygotowany. Zachowanie jego było szczególnie powściągliwe i nieufne.

Charles spieszył się, będąc zaproszony na pół do dziewiętej. Więc przystąpił do rzeczy bez ogródek. Zupełnie obojętny na wstrząsające zmiany na twarzy córki, oświadczył wręcz że przychodzi się pożegnać. Na jej zapytanie, kiedy wróci, odpowiedział że w każdym razie nie prędko – jeśli w ogóle wróci. – Lu byłaby się oczywiście rozpląkała z miejsca, lecz straszny wzrok brata, którego wielbiła i który miał nad nią władzę zbliżoną do hipnozy, powstrzymał jej łzy. Siedziała w łóżeczku osłupiała, z rękami opartymi na poduszkach, wpatrzone w ojca z wyrazem zwierzęcego przerażenia. Dopiero gdy ojciec wyszedł, Dicco powiedział: „Teraz możesz becząć”. – Nie dała sobie tego powtórzyć; jakby uwolniona z pod paraliżującego wpływu, runęła wstecz na poduszki, dusząc się od łkania. Dicco siedział ponury, nie zważając w ogóle na jej rozpacz ani na hałaśliwą jej manifestację. Minęło prawie pół godziny, nim wstał i wyszedł, chcąc się przynajmniej podzielić tą straszną porcją, bólu z kimś silniejszym i mądrzejszym od siebie. W międzyczasie dziewczynka płakała coraz ciszej i spokojniej; łkanie przeszło stopniowo w żalosne skomlenie; zasypiała.

Gdy wrócił, spała twardym snem. Zaczął się rozbierać i przerwał. Gdyż odkrył ciekawe zjawisko: nie był wcale śpiący. Ale, gdy się nie jest śpiącym, w takim razie ma się ochotę czytać, bawić się, gadać, marzyć. Tymczasem on nie miał teraz ochoty na nic w ogóle – słyszał kto kiedy żeby człowiek nie miał ochoty na nic?! W takim razie trzeba by się jednak położyć; lecz i tu rzecz niebywała stanęła na przeszkodzie: oto Dic-

co obawiał się, że nie zaśnie. Jak żyje nigdy się o to nie troszczył, czy zaśnie czy nie! Bo jeśli nie zasnął od razu, no to wyobrażał sobie co będzie jutro robić, wymyślał nowe tematy do rysowania, przypominał sobie ostatnią rozmowę z mamą...

doszło¹ do tego, że zaczął w pyjamach – spacerować po pokoju. Jak gdyby pokój sypialny był przeznaczony na spacerowanie po nim! I to mu się jednak wkrótce znudziło. Więc wymyślił kompromis; dopiero co matka dała mu zły przykład. Po książce, leżącej na jej kołdrze, poznał, że można czytać także i w łóżku. Wprawdzie wydawało mu się to równie komicznym i – niesmacznym jak gdyby ktoś dajmy na to chciał jeść w łóżku; lecz to będzie w tym wypadku jedyne wyjście. Wyciągnął zatem z swej biblioteczki dziełko o ostatnich wykopaliskach w Egipcie. Taką była jego pierwsza ucieczka przed rzeczywistością.

Charles wyskoczył z kipieli upojony poczuciem własnej piękności i siły. Był zdrow, *fit*² od stóp do głowy. Nigdy chyba nie było mu tak lekko – jakby się kajdan pozbył. Był wolny, wolny, wolny. Od czasu do czasu rzucał roztargnione spojrzenie na otaczające przedmioty z myślą: używam ich po raz ostatni. W myśli tej był ukryty blask – lecz ani śladu bodaj fizycznego żalu, jaki odczuwamy zazwyczaj, opuszczając otoczenie w któreśmy wrosli siłą przyzwyczajenia. Patrząc na siebie w lustrze, zaczął śpiewać. Zdziwił go własny głos – bardzo zwyczajny barytonowy³ organ rozbrzmiał się pełnym, żywym dźwiękiem. Przeciętny głos stał się naprawdę pięknym.

Genialna Nina, że kazała walczyć o siebie! Właśnie tego było mu dziś potrzeba. Ta żywotność wzmożona krzyczała w nim wprost o przeszkody do przewrócenia, o starcie wysiłku z wysiłkiem. Kim też może być jego przeciwnik? Oby był jak najgodniejszy – jej i mnie.

W tej chwili perspektywa walki rozgrzewała go silniej niż perspektywa nagrody za zwycięstwo. Spostrzegł to i – ucieszył się. To dobrze, że mu kobieta była mniej ważną niż on sam. To dobrze, że ją w gruncie rzeczy odczuwał jako dodatek tylko do samej czystej rozkoszy zwycięstwa. Przypomniawszy sobie wczorajszą u niej wizytę i ten pocałunek gwałtem zdobyty. I uśmiechnął się do swego odbicia z wesołym, porozumiewawczym mrugnięciem: pojął bowiem nagle, ile w tym wyrazie żywiołowej namiętności – było komedii.

Teraz dopiero, po tym ostatnim odkryciu, był w właściwym humorze. Mógł być istotnie zupełnie spokojny, że się nie zbłąźni; nie odczuwał ani śladu tremy. Zdobędzie ją – gdyż nie zależało mu już tak bardzo na tej zdobyczy. Jedyną ważną rzeczą na świecie jest wolność.

Tymczasem Nina ubrała się a teraz badała po raz setny przygotowania, do skromnej uczy. Zatrzymała swoją posługaczkę – młodą, przystojną i zręczną kobietę – także i na wieczór; będąc w stroju wieczorowym nie mogła zajmować się obsługą gości. Niepokój ją zżerał. Za każdym razem znajdowała Jakiś nowy szczegół do zarzucenia swemu strojowi.

Zmieniając za pomocą szmink⁴ i pudrów swą charakterystycę po raz siódmy z rzędu, patrzyła na swe odbicie z tą zamęczającą mieszaniną lęku, depresji i podniecenia jaka zwykle cechuje reakcję po nadużyciu narkotyku. Nie obciążona z natury kompleksem niższości, nie była przyzwyczajona wcale do niepokoju o tym charakterze. Dziś nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, iż jest właściwie typem wyjątkowo mało ciekawym. Więcej, bo *downright*⁵ ordynarnym. A tynkowanie sobie warg czarnawym granatem nie poprawia sytuacji wcale. Przeciwnie: każda sklepówka wpadłaby na pomysł ten sam właśnie. Granat i dokładnie ten sam kontur. Wyglądam jak ilustracja z trzeciorzędowego magazynu. – Już miała zmyć całe swe dzieło i albo zacząć od nowa, albo poprzestać na wrodzonej swej wulgarności – gdy posłyszała dobrze znany dzwonek.

André, w pełnym uroku swej magnackiej wytworności, wydał się jej bardziej ożywiony niż zwykle. Na jakąś błahą uwagę, zawierający dozę nieświadomego komizmu, obdarzył ją palącym uśmiechem. Błysk tych zębów rasowych i tak szlachetnych w materiale, że zdawały się być niezniszczalne jak marmur – olśnił ją i upokorzył głęboko. Nie wiadomo czemu, czuła się teraz jeszcze wulgarniejszą, ulepioną z jeszcze tańszej tandety niż dotąd.

– Cóż ci się to stało, Ninon? Przemęczyłaś się, czy też może zażyłaś kokainy? Nie należy tego robić nigdy przed północą. – Usiadł, ściągając ją z sobą na otomanę. Umiał otoczyć kobietę ramieniem sprężystym, lecz na pozór spokojnym, obojętnym na kontakt z jej ciałem. Dawał jednak równocześnie odczuć, że pozór był tylko pozorem. Nina była szczególnie wrażliwą na te odcienie. – W takim usposobieniu wieczór sam na sam ze mną nie będzie ci się uśmiechać. Czy masz ochotę potańczyć? A jeśli nie, to czy wolisz kolację z dobrem winem jako cel sam w sobie – czy też jako dodatek po teatrze lub operze? *Well*⁶, *my*

dear, dodał poważniejąc, zdaje się że się naprawdę coś stało? Nie pytam co – zastrzegł pośpiesznie – ale czy tak?

Nina opuściła oczy. Sekunda fatalna wybiła: trzeba było skoczyć w przepaść.

– Nic się nie stało, André – tylko mam bardzo niespokojne sumienie. Dopuszczałam się wykroczenia przeciw twoim rozporządzeniom.

– ...No...?

– Zaprosiłam tego – n-natręta na dziś. Zaraz przyjdzie.

Z pokornym podziwem stwierdziła, że obejmujące ją ramię nie zareagowało w ogóle niczym na niespodziewane jej wyznanie. Łatwo jest opanować refleksy, które by zdradziły nasze uczucia cudzemu wzrokowi lub słuchowi – lecz zachować tajemnicę przed dotykiem – nie każdy to potrafi. Gdyż nie trzeba dopiero brutalnych drgnięć, aby cudze nerwy przejrzały nasz sekret; wystarczy niedostrzegalne sprężenie lub rozprężenie mięśnia, jakaś nieuchwytna zmiana w temperaturze – może tylko magnetycznej – jakieś lekkie potknięcie, wahnięcie w rytmie pulsu. Aby się i przed tymi refleksami zabezpieczyć, nie dość panować nad materialnym organizmem: trzeba mieć władzę nawet nad jego niewidzialną emanacją⁷ magnetyczną, jego promieniowaniem.

Ale – André spóźnił się z odpowiedzią o pół sekundy.

– I to wszystko? Boże, Ninon, ja już sądziłem że cię jakaś klęska spotkała. – Jeśli cię prosiłem abyś tego pana zaprosiła na jutro, to tylko w mniemaniu, że cię moja obecność będzie trochę krępować. W rezultacie jestem ci? wdzięczny, bo byłem ciekaw tego twojego *would-be*⁸ przyjaciela.

Nina odważyła się nareszcie spojrzeć mu w oczy badawczo – lecz wzrok kochanka, rozświetlony iskierką czulej drwiny, uspokoił ją na razie. Nie zdążyła się odezwać, gdyż posługaczka – wzniesiona do godności butlera – zapukała, prosząc o pomoc czy o instrukcje.

André odprowadził ją bezmyślnie natężonym spojrzeniem, jak biegła ku drzwiom. Gdy się za nią zamknęły, zwolna przesunął oczy i zatrzymał je na jakiejś ciemnej głębi. Patrzył przez chwilę, zafascynowany – nim poznał własną twarz, wpatrzoną w siebie – w ciemność poprzez swe odbicie. A gdy ją poznał – mięśnie mu zluźniały z przestrachu.

Że jego twarz w ogóle mogła przybrać taki wyraz, było wstrząsającą niespodzianką. Nigdy jeszcze nie spojrzał w ten sposób nawet na mężczyznę – cóż dopiero na kobietę! A przecież bywały liczne wypadki,